

Z

przyjemnością przedstawiamy Państwu trzeci numer „Niezbędnika” w nowej odsłonie. Proponujemy namysł nad kilkunastoma kolejnymi współczesnymi zjawiskami i wyzwaniem.

„Człowiek zniewolony, ubezwłasnowolniony, pozbawiony ducha inicjatywy, nieumiejący myśleć krytycznie, (...) który nie chce i nie umie swego losu wziąć we własne ręce” – tak Jerzy Turowicz opisał Polaka, którego ks. Józef Tischner na początku lat 90. nazwał *Homo sovieticus*. On ciągle w nas pokutuje – stwierdził niedawno ks. Adam Boniecki. *Homo sovieticus* przeminął wraz z systemem, którego był wytworem – oponuje u nas Tadeusz Zatorski. I na pytanie, kto zajął jego miejsce, odpowiada: *Homo catholicus*.

Prof. Maciej Dymkowski zastanawia się nad inną odsłoną polskiej duszy. „Potomkowie przez wieki zniewolonych chłopów pańszczyźnianych, wyzutych przez szlachtę z politycznej (i wszelkiej innej) podmiotowości, upodobnili się psychospołecznie do ciemniejszych ich przodków” – pisze. I analizuje rzeczywistość, jaką zbudowali ci, którzy uwierzyli w swoją sarmacką przeszłość i wielkość.

Przyglądamy się także bardziej jeszcze zdumiewającej wielkości. „Ekshumował strachy i lęki, widma rasizmu i bigoterii, nienawiści i uprzedzeń. Przez dwa lata swych rządów zadbał o to, aby ich nie pogrzebać. Przeciwnie – starannie je reanimował i wzmacniał. Zadbał o to, aby pogłębić rowy dzielące Amerykanów”. A jednak są tacy, którzy widzą w nim mesjasza. Jak to możliwe – zastanawia się Andrzej Lubowski, analizując fenomen Donalda Trumpa.

Z Andrzejem Hołdysem kibicujemy nowym planom lotów na Księżyc. Z Karolem Jałochowskim słuchamy fizyków, dla których Natura okazuje się znacznie mniej łaskawa, niżby sobie życzyli. Z dr. Maciejem Ogrodniczukiem rozważamy, czy warto uczyć się języków, kiedy z pomocą przychodzą coraz bardziej zręczni elektroniczni tłumacze. Z prof. Krystianem Jażdżewskim przyglądamy się genom, a z dr. hab. Piotrem Sankowskim – wszechwładnym algorytmom. I tak dalej.

A na koniec – w kolejnej rozmowie Jacka Żakowskiego – psycholog osobowości i motywacji, pisarz, prof. Wiesław Łukaszewski mówi nam, co jest w życiu mądre.

Zapraszamy do lektury. Następny numer już w nowym roku.

KATARZYNA CZARNECKA
REDAKTOR WYDANIA

niezbednik@polityka.pl

6

Homo catholicus

Jakich Polaków uformował Kościół

TADEUSZ ZATORSKI

16

Recydywa sarmatyzmu

Dlaczego wciąż stroimy się w kontusze

PROF. MACIEJ DYMKOWSKI

23

Nostalgia za nieznany

Czy można tęsknić za PRL

JOANNA SOLSKA

28

Kłątwa Conrada

Co o świecie mówił Józef Konrad Korzeniowski

ZIEMOWIT SZCZEREK

32

Łatanie sieci

Czy Unia zabiera ludziom wolność w internecie

EDWIN BENDYK

37

Tajemnice trzech miliardów literek

Jakie nadzieje budzi genetyka

Z prof. Krystianem Jażdżewskim rozmawia

AGNIESZKA SOWA

42

Rozum zagubiony

Kto i dlaczego wierzy w pseudonaukowe bzdury

MARCIN ROTKIEWICZ

46

Zbiory z jednostkami

Na co komu dziś narody

EDWIN BENDYK



50

Zbawca, burzyciel, clown?

Co myśleć o Donaldzie Trumpie

ANDRZEJ LUBOWSKI

58

Chińskie drogi

Którędy Państwo Środka zdobywa świat

KRZYSZTOF KUBIAK



62

Szczęście we własnym piekle

Czy nacjonalizm pogrzebie Iran

ŁUKASZ WÓJCIK

68

Wskazówki i zmyłki

Co z nami robią algorytmy

Z dr. hab. Piotrem Sankowskim rozmawia

SŁAWOMIR MIZERSKI

NIEZBĘDNIK

72

Kosmos szeroko otwarty

Kiedy człowiek znów stanie na Księżycu

ANDRZEJ HOŁDYS

77

Matka Natura Szkaradna

Jak fizycy dali się okpić pięknem

KAROL JAŁOCHOWSKI

82

Słowa zapytania

Czy warto się dziś uczyć języków obcych

DR MACIEJ OGRODNICZUK

86

Niemęskie granie

Kto sobie funduje makijaż wokalny

BARTEK CHACIŃSKI

90

Gwiazdy nad deskami

Czy to jest czas star-architektów

PIOTR SARZYŃSKI

96

Magiczne opium Kubricka

Jak się ma „2001: Odyseja kosmiczna” po pół wieku

JANUSZ WRÓBLEWSKI

100

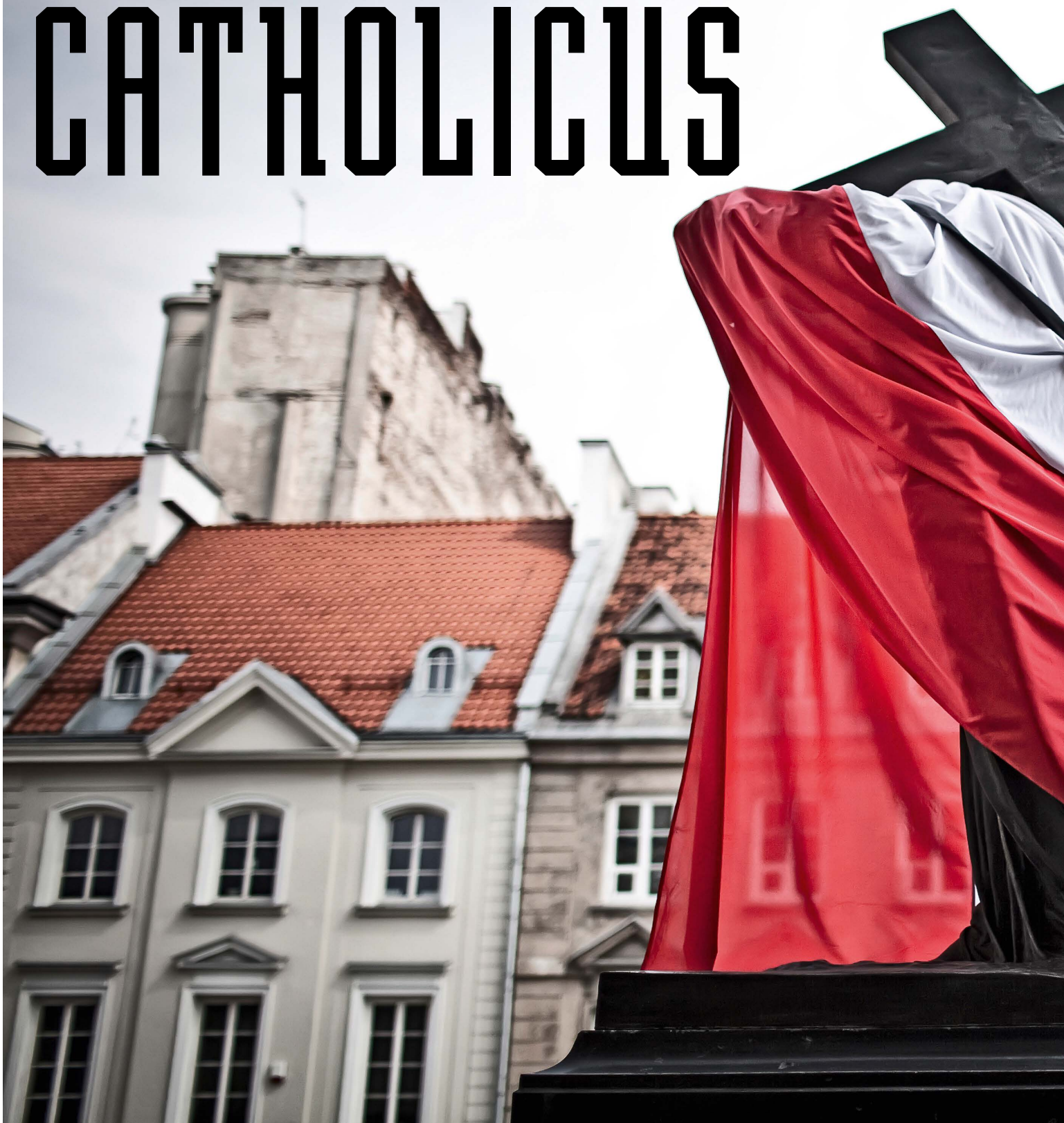
Co jest mądre?

Z Wiesławem Łukaszewskim rozmawia

JACEK ŻAKOWSKI

HOMO CATHOLICUS

„Irracjonalne jest przypuszczenie,
że zyskalibyśmy wiele, gdybyśmy
przeciwstawiając się komunizmowi,
intronizowali w jego miejsce katolicyzm”
– *Bertrand Russel.*



TADEUSZ ZATORSKI

W

sierpniu 2017 r., w wywiadzie dla TOK FM ks. Adam Boniecki wskazał winnego naszych licznych obecnych nieszczęść. To *homo sovieticus*, który „ciągle w nas pokutuje”, gotów oddać swą wolność i podporządkować się każdej władzy w zamian za poczucie złudnego bezpieczeństwa.

Homo sovieticus? Po niemal trzydziestu latach wolnej Polski?

Homo sovieticus tischneriensis

Do międzynarodowego obiegu intelektualnego wprowadziła pojęcie *homo sovieticus* w latach 80. tak właśnie zatytułowana powieść Aleksandra Zinowiewa. W Polsce jednak uformował je w powszechnej świadomości ks. Józef Tischner serią artykułów opublikowanych na początku lat 90. pod wrażeniem upokarzającej klęski Tadeusza Mazowieckiego w wyborach prezydenckich 1990 r. *Homo sovieticus*, głosząc na Stana Tymińskiego, wziął wówczas jakoby „odwet” za „doznane krzywdy”, utratę „miejsca w świecie polityki” i „zagrożenie utratą pracy”, negując tym aktem „dobro wspólne”, gdyż nie „znał różnicy” między nim a „własnym interesem”. Dlatego zdolny był nawet „podpalić katedrę, byle sobie przy tym ogniu usmażyć jajecznicę”. A wszystko to dlatego, że był

Figura Chrystusa przed kościołem św. Krzyża kilka dni po katastrofie smoleńskiej. Warszawa, kwiecień 2010 r.

„klientem komunizmu”, zniewolonym przez system i żywiącym się „towarami, jakie komunizm mu oferował”, a były nimi „praca, udział we władzy, poczucie własnej godności”. Gdy towarów tych zaczęło brakować, *homo sovieticus* zbuntował się i nawet przyczynił do obalenia komunizmu, ale nie zrezygnował wcale z dawnych roszczeń. Utracone dobra miał mu teraz zapewnić mityczny kapitalizm. Był niczym „niewolnik, który po wyzwoleniu z jednej niewoli czym prędzej szuka sobie drugiej”.

Trafnie streścił istotę Tischnerowskiego konceptu Jerzy Turowicz: „*Homo sovieticus* to człowiek zniewolony, ubezwłasnowolniony, pozbawiony ducha inicjatywy, nieumiejący myśleć krytycznie, (...) który nie chce i nie umie swego losu wziąć we własne ręce”.

Tak opisany „człowiek sowiecki”, nazwijmy go *homo sovieticus tischneriensis*, bardzo różnił się od zinowiewowskiego. Zinowiew szukał swojego bohatera, „homososa”, przede wszystkim w wyższych warstwach społeczeństwa, „w sferze zarządzania, nauki, propagandy, kultury i szkolnictwa”. Tischner i Turowicz zaś brali na cel raczej „człowieka prostego”, najwyraźniej niezdolnego docenić wielkości nowych czasów i przywódców, przodującą dójkę z bankrutującego PGR, która ani myślała „swego losu wziąć we własne ręce” i przeistoczyć się w businesswoman. Obaj autorzy zdawali się przy tym ignorować fakt, że także większość mieszkańców kapitalistycznego z dawien dawna Zachodu wcale nie bierze swoich losów we własne ręce i pozostaje pracownikami najemnymi, którzy bezlitośnie rozliczają swoje rządy z polityki zatrudnieniowej i socjalnej. A jak to kiedyś szczerze wyznał Jan Krzysztof Bielecki w rozmowie z Grzegorzem Sroczyńskim („GW” z 16.05.2014), nowi władcy Polski nawet nie zastanawiali się nad tym, co się stanie z pracownikami likwidowanych pegeerów. Przodująca dójka, odmawiająca poparcia kartką wyborczą ludzi, którzy nie zamierzali zaprzętać sobie głów jej przyszłością, zachowywała się w gruncie rzeczy nad wyraz racjonalnie.

Zdaniem ks. Tischnera polski *homo sovieticus* stał się fanatycznym i szczerym wyznawcą komunizmu: podstawowego zła, „jakie dręczy narody świata”, miał on upatrywać w „instytucji własności prywatnej”. To chyba dość wydumany obraz tamtych czasów powszechnego dwójmyślenia, mozolnego układania się z władzą, która zresztą sama nie bardzo wierzyła w objawienie brodatych klasyków. Pewnie byli w latach 50. i w Polsce nieliczni przekonani marksiści, ale oni – jak Jacek Kuroń czy Karol Modzelewski – zbuntowali się najwcześniej. Taki bunt nie był może zjawiskiem powszechnym, ale powszechna była niewiara w komunistyczne dogmaty.

Czerwone jak czarne (i vice versa)

Ks. Tischner był przekonany, że „komunizm to nie tyle zaprzeczenie chrześcijaństwa, co jego naśladowanie, a nawet wręcz parodia”. Podobieństw między katolicyzmem a komunizmem nie sposób nie dostrzec. Marcin Kula opisał je w „Religiopodobnym komunizmie”, a choć zaznaczył, że „podobieństwo jest relacją dwukierunkową”, to przecież „z oczywistych powodów historycznych o naśladownictwie oraz in-

spiracji można mówić jedynie w odniesieniu do jednego kierunku”. Oczywiście naśladownictwa wcale nie jest tu jednak taka pewna. Uderzające analogie – np. zastępowanie obrzędów religijnych świeckimi – nie muszą bowiem wcale oznaczać, że młodszy brat usiłował naśladować starszego. Sekretarze partii, układając scenariusze pochodów 1-majowych, nie inspirowali się procesjami Bożego Ciała, a komunistyczna samokrytyka nie była parodią spowiedzi. Podobnie ryzykowny byłby pogląd, że współcześni proboszczowie, ozdabiający swoje świątynie banerami informującymi, że „Rodzina Kościołem domowym”, naśladowują i parodiują sekretarzy PZPR, którzy na wielkich transparentach ogłaszali „Program Partii programem Narodu”. Kto oskarża o naśladownictwo, kwestionuje oryginalność i autentyczność oferty ideowej rywali, niepokojąco zbieżnej z jego własną. Hans Blumenberg w głosnej „Prawowitości epoki nowożytnej” zauważał, że zarzut taki formułowali już – wbrew oczywistej chronologii – pierwsi ojcowie Kościoła wobec filozofów starożytnych, którzy jakoby „po cichu uczyli się z Biblii”. „Chrześcijaństwo (...) rościło sobie pretensje nie tylko do prawowitości posiadania przez siebie prawdy, lecz zarazem kwestionowało prawowitość posiadania przez świat antyczny tych wyobrażeń, które z nim dzieliło lub odeń przejęło”.

Takie podobieństwa wprowadzają zwykle w zakłopotanie. To dlatego pierwsi biskupi potępiali ludowy kult matki Jezusa, trafnie rozpoznając w nim recydywę pogańskiego kultu Wielkiej Macierzy. Wyobrażenie dobrotliwej Matki okazało się jednak tak powszechne, że hierarchowie musieli je zintegrować z własną doktryną. Przejęli nawet charakterystyczny wizerunek Izdy z Horusem, powtórzony prawie bez zmian w schemacie ikonograficznym Hodegetrii.

I chrześcijaństwo, i komunizm były doktrynami wieszczącymi bliski koniec świata, ale ten koniec nie miał wcale oznaczać jego unicestwienia, lecz niejako nowe rozdanie kart, naprawiające dotychczasowe niesprawiedliwości. Zdumiewa niekiedy paralelność obrazów. „Oto my opuściliśmy wszystko – pyta Piotr Jezusa w Mt 19, 27–29 – i poszliśmy za Tobą, cóż więc otrzymamy?”. A Jezus go uspokaja: najwierniejsi z wiernych zasiadą „na dwunastu tronach, sądząc dwanaście pokoleń Izraela”. A każdy „stokroć tyle otrzyma”, ile pozostawił. „Wielu zaś pierwszych będzie ostatnimi, a ostatnich pierwszymi”. Wątpliwe, czy Eugène Pottier, autor słów „Międzynarodówki”, inspirował się w 1871 r. tym fragmentem Ewangelii, gdy obiecywał towarzyszom: „Dziś niczym, jutro wszystkim my”. Pragnienie nagrody za trud i wyrzeczenia drzemie w sercach wszystkich rewolucjonistów.

Tak chrześcijaństwo, jak i komunizm miały swoje święte księgi, które interpretować mogły wyłącznie odpowiednie „urzędy nauczycielskie”, chroniące wiernych przed „błędami” heretyków, rewizjonistów i dysydentów, prześladowanych tu i tam równie bezwzględnie. Mógł mieć biskup Rzymu „teologa domu papieskiego”, dlaczego więc Leonid Breżniew miałby rezygnować ze swojego naczelnego ideologa, którym przez długie lata był oślawiony Michaił Susłow? Tu i tam rządy sprawuje hierarchia wyłaniana w sposób niedemokratyczny i niejawni, partia wewnętrzna, na czele której stoi jeden człowiek, często nieofi-



sovieticus to według ks. Tischnera człowiek zniewolony, pozbawiony ducha inicjatywy, nieumiejący myśleć krytycznie.

cialnie deifikowany, a i formy tej deifikacji bywają zaskakująco podobne: „Kult znaczących postaci – pisał Marcin Kula – nie raz dochodzi do granic bałwochwalstwa (...). Na uniwersytecie w Phenianie może jeździć w windzie otoczone blaskiem krzesło, które uszlachetnił własnym siedzeniem Kim Ir Sen. Warto jednak pamiętać pewne zdjęcie z jednej z papieskich pielgrzymek do Polski. Sfotografowana zakonnica całowała siedzenie fotela, na którym przedtem siedział Jan Paweł II”.

Oba systemy prowadziły „święte wojny”, by nieść prawdę wiarę innym narodom, nie zawsze jej spragnionym. Oba wreszcie dbają o to, by ich poddani i wyznawcy nie zapominali o nich ani na moment. Duszpasterze wywieszający banery z nabożnymi hasłami i wypełniający miasta pomnikami Jana Pawła II chcą – jak dawniej władcy PRL – posługując się środkami przemocy symbolicznej, unaocznic dobitnie, kto panuje nad przestrzenią publiczną i ma prawo dowolnego jej kształtowania.

Gdy Jerzy Andrzejewski chciał aluzyjnie opisać mechanizmy ustroju stalinowskiego, akcję „Ciemności kryją ziemię” umieścił w XV-wiecznej Hiszpanii, terrorizowanej przez inkwizycję. Właśnie tu dopatrzył się najbardziej oczywistego powinowactwa. Nie tyle ze świadomego wyboru, ile ze wspólnoty celów.

„Pozornie odwrotne zjawisko totalitaryzmu wyznaniowego, tak jaskrawo występujące w niektórych państwach islamu – pisał Jan Józef Szczepański na początku lat 80., gdy nikt nie ośmieliłby się jeszcze łączyć tego zjawiska z katolicyzmem – (...), podlega (...) temu samemu mechanizmowi aspiracji polityki do pełnego rządu dusz (...). Religia funkcjonuje jako polityczna ideologia. Praktyczne skutki dla totalitarnie rządzonych społeczeństw są te same”.

Obie formacje, i katolicyzm i komunizm, pragną bowiem sprawować nad jednostką władzę totalną, organizującą całe jej życie. Stąd potrzeba analogicznych scenariuszy dla praktykowanych we wszystkich kulturach rytuałów przejścia, wyznaczanych przez biologiczny rytm życia: narodzin, wchodzenia w dorosłość, małżeństwa i śmierci (co łatwo, ale błędnie, daje się zinterpretować jako imitowanie). Znamienne też,

że obie tak natrętnie starają się kontrolować zachowania seksualne swych poddanych: reżimy komunistyczne były na ogół bardzo purytańskie – w Rumunii Nicolae Ceaușescu obowiązywał zakaz antykoncepcji – a biskupi katoliccy odmawiający Eucharystii rozwodnikom żyjącym w nowych związkach, jeśli ci uprawiają w nich seks, dobrze wiedzą, co robią: kto ma władzę nad życiem intymnym człowieka, a przede wszystkim nad jego poczuciem winy, sprawuje nieograniczoną władzę nad nim samym.

W tym odarciu jednostek z wszelkiej prywatności katolicyzm szedł zresztą nieporównanie dalej, każąc swym wyznawcom regularnie zwierzać się „pasterzom” z najintymniejszych spraw i sprawek. Dziś spowiedź uszną można traktować jako komfortową – bo w pełni anonimową – psychoterapię. Wcześniej spowiadać można się było wyłącznie we własnej parafii, co wytwarzało szczególnego rodzaju głęboko patologiczną więź między spowiednikiem a jego penitentami: kto zna najbardziej skrywane tajemnice człowieka, ten zyskuje nad nim ogromną przewagę emocjonalną. W porównaniu z tym komunistyczne rytuały samokrytyki, przypominające raczej spowiedź powszechną, niedotykającą sfery intymnej, wydają się praktyką bardzo łagodną.

W wydanej w 1951 r. książce „Communism, democracy and Catholic power” Paul Blanshard zwracał uwagę na okoliczność, że obie formacje wzorowały swe struktury na ustrojach, w których wyrastały: wschodnim cesarstwie rzymskim i carskim samodzierżawiu, a zatem na ustrojach skrajnie autorytarnych. Zapewne dlatego Kościół rzymski tak źle się czuje w warunkach demokracji, która, jak zauważa uchodzący za liberalnego bp Tadeusz Pieronek, „nie jest (...) mechanizmem odpowiednim dla struktury hierarchicznej. Gdyby Jezus chciał powołać Kościół demokratyczny, na pewno by tak uczynił. Powołał jednak Apostołów, nadając im władzę zwierzchnią. Prosta sprawa: jak się ma demokracja do prawdy? Czy można przegłosować prawdę?”.

Stąd i skłonność do przenoszenia tej własnej struktury zarządzania na otoczenie zewnętrzne. Depozytariusz Prawdy nie może przecież podporządkowywać się demokratycznie



catholicus thoruniensis

wierzy w swą moc sprawczą:
dał się przekonać, że od wyborów 2015 r.
jest „suwerenem”.

uchwalanym ustawom, ponieważ ta jego Prawda jest, jak sądzi, nadrzędna w stosunku do porządku świeckiego. To rodzi pokusę popierania sił politycznych, które tę nadrzędność uznają i wcielą w życie. A nie mogą to być siły szanujące polifoniczną z natury rzeczy demokrację – Prawda jest jedna: nasza. Postawa samego bpa Pieronka dziś zdaje się temu przeciwieć, ale wynika ona zapewne z trzeźwej (i trafnej!) kalkulacji, że mariaż z PiS na dłuższą metę się Kościołowi nie opłaci. Hierarcha wolałby zapewne widzieć u steru polityków uległych wobec Kościoła, ale nieco bystrzejszych i nie tak radykalnych. Biskup zna najnowsze dzieje Hiszpanii.

Każda władza autorytarna utrzymuje podległą sobie społeczność w poczuciu nieustannego zagrożenia, przed którym jest rzekomo jedyną jej obroną. „Homoseksualizm (...) niszczy podstawy społeczeństwa, więc społeczeństwo ma prawo bronić się przed nim. (...) Demokracja nie oznacza swobody we wszystkim. (...) O tym, jaka mniejszość ma prawo do istnienia, powinna decydować większość. (...) Społeczeństwo, powtarzam, (...) posiada prawo bronić się przed tą zarazą”.

Nie, to nie cytaty z „Naszego Dziennika”. To znów zinowiewowski homosos. Którego ze słuchaczami Radia Maryja łączy nie tylko niechęć do „kochających inaczej”, lecz także żarliwe pragnienie posiadania Wroga. Dostrzegł tę prawidłowość wszelkich systemów totalitarnych George Orwell, opisując w „1984” praktykowany w Oceanii rytuał „dwóch minut nienawiści”. Także katolicyzm miał przez wieki przeciwnika, diabła, który w nowszych czasach przybrał oblicze bardzo doczesne: komunisty. I oto nagle przeciwnik zniknął! Niemal z dnia na dzień władza z bezwzględного rywala przeobraziła się w oddanego przyjaciela, a właściwie uniżonego sługę, spełniającego wszystkie zachcianki. Biskupów wyraźnie to skonfundowało: Bez Wroga ani do proga!

Diabeł został więc przywrócony do łask, a wraz z nim powróciły zapomniane egzorcyzmy. Wróg czai się wszędzie, nawet w ćwiczeniach gimnastycznych (notabene także władze ChRL zwalczają bezwzględnie miłośników gimnastyki Falun

Gong). I atakuje tym wścieklej, im bardziej krzepnie władza czy to partii, czy Kościoła. W stalinowskiej Rosji opór „klas posiadających” nasilał się ponoć w miarę postępów w budowie socjalizmu, a terror swoje apogeum osiągnął w latach 30. We współczesnej Polsce powstał Parlamentarny Zespół ds. Przeciwdziałania Ateizacji, stawiający sobie za cel zapobieganie „wykluczaniu z życia publicznego religii”, a jeden z biskupów ogłosił, że Polską rządzi „struktury zła”, masoni i propagatorzy „ideologii gender”.

Uderzające jest podobieństwo stosowanych środków językowych. Komunizmowi przeciwstawiły się siły skupione wokół ideologii, których nazwy musiały się kończyć na -izm, jak trockizm czy rewizjonizm. Wyśmiał tę manierę Bułhakow w „Mistrzu i Małgorzacie”, gdzie autora powieści o Piłacie oskarża się o szerzenie piłatyzmu. Dziś Viara Maldjewa zachwala książkę egzorcysty ks. Aleksandra Posackiego „Harry Potter i okultyzm” jako obnażającą „prawdziwy obraz rzeczywistości duchowej, proklamowanej przez potteryzm”. Także gender szybko przeistoczył się w genderyzm.

Jak to możliwe, że adresaci tej narracji nie dostrzegają jej niezamierzonego komizmu? Najwyraźniej *homo sovieticus tischneriensis* nie jest jedyną odmianą *homo sapiens*, oduczoną skutecznie krytycznego myślenia.

Homo catholicus thoruniensis...

Swojego bohatera naszkicował ks. Tischner dość grubą kreską. Nie dowiemy się z tego opisu na przykład, co polski *homo sovieticus* zwykł był robić w niedzielę przed południem. Adam Michnik wyraził kiedyś pogląd, że nie sposób nawet myśleć o wyeliminowaniu katolicyzmu z polskiej rzeczywistości, a to dlatego, że „jedynym miejscem, gdzie zwykły człowiek w Polsce się dowiaduje, co jest dobrem, a co jest złem, jest kościół katolicki”. Nie inaczej było i w PRL.

Również prof. Tischner przyznawał, że *homo sovieticus* „przenikał (...) do wnętrza kościołów”, gdzie „»konsumował« środki zabezpieczenia na życie wieczne”, słowem: „obrażał

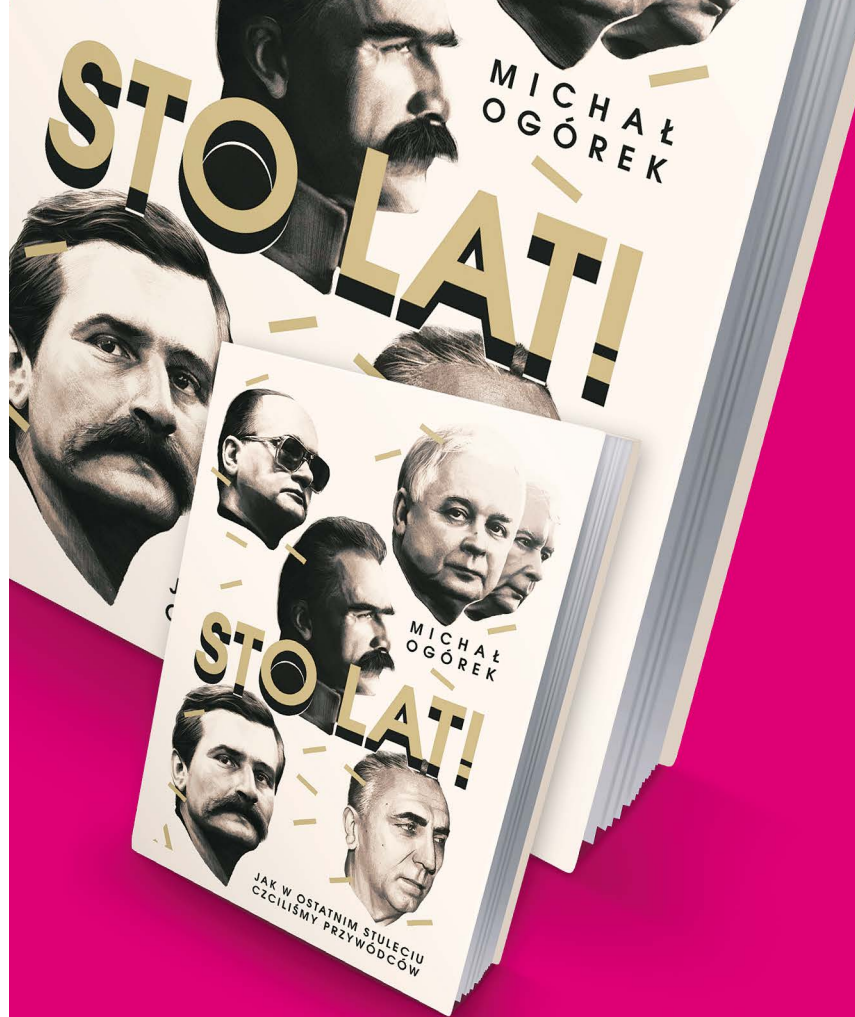
się między Wawelem a Jasną Górą jako natręt i wyrzut sumienia duszpasterzy”. Czy te wizyty na Jasnej Górze nie zostały w nim żadnego śladu? Jedno jest pewne: katedra byłaby ostatnią budowlą, którą chciałby podpalić w celu usmażenia sobie jajecznicy.

Adam Michnik miał rację: to Kościół katolicki formuje w dużej mierze umysły Polaków. I to on wpływa znacząco na ich wybory polityczne, a nie miały udział w tych jego działaniach wychowawczych mają katolickie media, z toruńskim radiem na czele. Opatrywanie finalnego produktu tej formacji mianem *homo sovieticus*, jak to czyni ks. Boniecki, wydaje się nieporozumieniem czy wręcz próbą zdjęcia odpowiedzialności z instytucji, której funkcjonariuszem – choć trochę niesubordynowanym – wciąż pozostaje. Znacznie trafniejszym określeniem tego irracjonalnego polskiego wyborcy byłby dziś chyba raczej termin *homo catholicus*, a ściślej – bo przecież nie wszyscy wierni głosują pod dyktando pasterzy – *homo catholicus thoruniensis*. Od Tischnerowskiego „człowieka sowieckiego” sporo go jednak odróżnia.

Odbiorca propagandy pezetpeerowskiej nie traktował jej, wbrew sugestiom ks. Tischnera, zbyt poważnie, wiedział, kto był sprawcą mordu katyńskiego, i chętnie opowiadał dowcipy o Leninie czy Gomułce. Wolno też powątpiewać, czy ów mityczny klient komunizmu żywił złudzenia, że ma jakiś udział we władzy. Raczej pomstował na „onych” i „ruskich”, dobrze zdając sobie sprawę, że jego wpływ na bieg spraw publicznych jest niewielki. A po cichu kibicował „imperialistom” amerykańskim.

Homo catholicus thoruniensis wieści o masońskich spiskach przyjmuje zupełnie inaczej. I lepiej przy nim nie dworować sobie z Prezesa-Zbawcy, Papieża-Polaka czy Ojca-Dyrektora. On autentycznie wierzy w to, co podaje jego ulubiona stacja, a nie nawiść żywiona przezeń do wrogów wskazanych przez nią i pasterzy jest prawdziwa i nieudawana. Bo ten *homo catholicus* to odbiorca wolny od wątpliwości. Pomaga mu w tym wieloletni trening w przyjmowaniu do wierzenia przekazu, którego źródłem jest Autorytet: kogo nauczono w dzieciństwie wierzyć w cuda, ten nie ma powodów, by nie uwierzyć w cud w Sokółce czy w Jarosławiu. A jeśli trzeba, uwierzy i w potteryzm. Bo posiadał już zdolność uwierzenia we wszystko.

Właśnie ta cecha czyni *homo catholicus thoruniensis* obiektem pożądania polityków skrajnej prawicy: kto gotów jest uwierzyć we wszystko, ten uwierzy także w zamach smoleński, dobrą zmianę i prawo służące narodowi. A przyzwyczajony do rozmaitych wolt teologicznych – przez całe wieki dzieci zmarłe przed chrztem szły do otchłani, kilka lat temu zaś Benedykt XVI jednym podpisem przeniósł je prosto do nieba – *homo catholicus thoruniensis* nie nabierze podejrzeń, gdy co miesiąc zamach ów będzie się wyjaśniać inną teorią, wykluczającą w zasadzie wszystkie poprzednie. Nie zdziwi się też, gdy prokurator oskarżający w stanie wojennym opozycjonistów i odznaczony za to Krzyżem Zasługi będzie z trybuny sejmowej wykrzykiwał „precz z komuną”. *Homo catholicus thoruniensis* nie odznacza się zbyt dobrą pamięcią – Orwellovskie owce też szybko zmieniały pogląd na temat posiadania dwóch nóg.



DOSKONAŁA ODTRUTKA NA HISTORIĘ ZMIENIANĄ W BAJKOPISARSTWO I KULT JEDNOSTEK

Portretem zbiorowym 9 osób, od Naczelnika z 1918 r. po Prezesa z 2018 r., Michał Ogórek rekapitułuje 100-lecie Niepodległości. Jest to rekapitulacja raczej gorzko-ironiczna niż po prostu prześmiewcza, ale szczegółów – zarówno uciechnych, jak i wprawiających w zakłopotanie – jest w niej mnogość, co powoduje, że „Sto lat!” jest bardzo przydatnym suplementem zarówno do akademickich syntez, jak i szkolnych bryków. A także odtrutką na naszą nieprzemijającą skłonność do tromtadacji.

Prof. Andrzej Paczkowski

JUŻ W SPRZEDAŻY

KSIAŻKA DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA  KULTURALNY SKLEP.PL
W FORMIE E-BOOKA I AUDIOBOOKA NA  publio.pl

Kup książkę



**Wydawnictwo
Agora**

Inaczej niż obywatel PRL, mityczny *homo sovieticus tischneriensis*, *homo catholicus thoruniensis* wierzy w swą moc sprawczą: dał się przekonać, że od wyborów w 2015 r. jest „suwerenem”. Więcej: oto nagle ktoś wyprorokował mu wielki cel, który koi jego „jaskółczy niepokój”. Już nie jest szarym rencistą, odliczającym nerwowo dni dzielące go od kolejnego przekazu z ZUS. Jest bojownikiem Sprawy, nieustraszenie przeciwstawiającym się inwazji potężnych wrogich sił, które sprysnęły się przeciw Bogu i Ojczyźnie. Widzi świat jaśniej niż gardzące nim elity, uniwersyteccy mędrkowie, wiodący niezrozumiałym wolapikiem zawikłane spory, czy przebiegli kauzyperdzi przerzucający się kruczkami prawnymi. Dostrzega tajemne związki między wydarzeniami i ludźmi, których to związków mędrkowie nigdy dojrzeć nie zdołają. I jest dumny, że dane mu było znaleźć się w Okopach Świętej Trójcy, choć rzadko będzie miał w nich szansę zetrzeć się z prawdziwym Wrogiem, genderystą czy masonem, ale czasem trafi mu się okazja, by przynajmniej zdzielić parasolką dziennikarkę TVN. Powiedział ktoś kiedyś trafnie, że drogę do władzy przetarł NSDAP „wściekły drobnomieszczanin”; Prawu i Sprawiedliwości przetarł tę drogę „wściekły emeryt”.

Poddany „władzy ludowej” nie żywił wielkiej sympatii do swych przedstawicieli, których ustami pijał szampana. *Homines catholici* zdają się wcale nie przeszkadzać ekscesy jego wybrańców rozbijających raz po raz pancerne limuzyny, przyznających sobie sute nagrody oraz sowicie opłacane posady w rozmaitych radach nadzorczych. Nie rażą go skandale obyczajowe wśród jego idoli i heroin, ich mało katolickie kolejne małżeństwa i dzieci o nie zawsze wiadomym ojcostwie. W końcu jego proboszcz też nie żyje jak św. Aleksy, a drobne potknięcia trzeba wszak ludziom Kościoła wybaczyć w imię świętości Instytucji. Pedofilia? Toż to wina lewaków, którzy przez lata szerzyli pornografię i rozwiązłość, nasycając nimi nasze czasy i wszystkich, którym przyszło w nich żyć. A skoro wybacza swoim pasterzom, to dlaczego nie miałby wybaczyć swoim przywódcom?

Homo catholicus thoruniensis nie dostrzeże, że krok po kroku ogranicza się jego prawa i wolność. Niewiele jej zresztą potrzebuje. Po co wolność sumienia i wyznania komuś, kto wyznaje jedyną prawdziwą religię, którą wyznawać nie tylko wolno, ale wręcz trzeba, i nie zamierza wyznawać innej? Nie mówiąc już o niewyznawaniu żadnej. Po co wolność słowa obywatelowi, który i tak czyta jeden tylko dziennik, bardzo zalecany przez wszystkie władze, zarówno duchowne, jak i świeckie? Słucha jedynie zalecanych przez nie rozgłośni i ogląda zalecane telewizje? Braku innych nawet by nie zauważył. Próby cenzurowania niezależnych mediów są właściwie zbędne: *homo catholicus thoruniensis* cenzuruje się sam. Parę lat temu żalosnym fiaskiem skończyła się próba wręczenia uczestnikom pielgrzymki do Torunia darmowych egzemplarzy nieautoryzowanej biografii Ojca Dyrektora, pielgrzymi ze wstrętem odmawiali ich przyjęcia, bo przecież oni o bohaterze książki wiedzą wszystko, co wiedzieć trzeba. Gdy zaś toruński *homo catholicus* dowiaduje się, że znów rozszerzono prawo służb do podsłuchów i inwigilacji, przyjmuje tę wiadomość z wdzięcznością, że znów

ktos zatroszczył się o jego bezpieczeństwo, oraz z dumnym wyznaniem, że ON „nie ma nic do ukrycia”.

Nawet gdyby mu dać wszystkie prawa i wolności przysługujące obywatelom cywilizowanego świata, i tak nie bardzo by wiedział, co z nimi począć. Ale niepomierne irytują go współobywatele, którzy to wiedzą. Bo też niewykluczone, że podświadomie trochę im zazdrości tych ich związków partnerskich, swobody i kolorowego, choć – zgodnie z duszpasterską nomenklaturą – nieuporządkowanego życia. Tym energiczniej domaga się, by tych wszystkich niedostępnych mu bezczeństw zakazać – w imię wartości. To dla takich jak on wynaleziono „wolność prawdziwą”, urzeczywistniającą się jedynie w „blasku prawdy”, której aktualną treść i formę ustala i przepisuje powołany do tego „urząd nauczycielski”, gdyż wolność zwykła, bezprzymiotnikowa to w istocie zniewolenie: „zakamuflowany totalitaryzm”. Jak w Orwellowskiej Oceanii: „Wolność to niewola”.

Także skłonność do opatrywania pojęć przymiotnikiem „prawdziwy”, obracającym je w ich dokładne przeciwieństwo, katolicyzm dzieli, jak widać, ze swoim komunistycznym bliźniakiem. Po przyjęciu przez KBWE w Helsinkach (1975 r.) katalogu praw człowieka i obywatela w propagandzie bloku wschodniego pojawiło się pojęcie „prawdziwego prawa człowieka”, to znaczy „prawa do życia w pokoju”, którego jedynym gwarantem był „miłujący pokój” Związek Sowiecki.

Świat *homo catholicus thoruniensis* to świat na swój sposób egzotyczny, by nie rzec: baśniowy. Kto chce go doświadczyć i posmakować, niech uda się na którąś z niezliczonych „mszy o uzdrowienie”. To świat groźny i spowity mrokiem, ale zarazem pełen opiekuńczych istot, mogących sprawić cud, tajemnych znaków i krzepiących przepowiedni, świat pełen diabelskich opęttań, przed którymi można się jednak obronić niezawodnym egzorcyzmem. I nie jest to żaden katolicyzm ludowy, nieautoryzowany przez władzę duchowną, a co najwyżej przez nią *nolens volens* tolerowany. „Cud” jarosławski zdarzył się w klasztorze dominikanów, zakonu postrzeganego jako zbiorowość katolickich intelektualistów, a zawodowym pogromcą diabła zostaje się z mianowania biskupa.

Homines catholici thoruniensis to wcale nie wyłącznie ludzie o najniższym wykształceniu. Są wśród nich i profesorem uniwersytetów. Dość wspomnieć owego dendrologa, który o nonsensowności teorii Darwina chciał przekonać nawet Parlament Europejski i głosił tezę o współistnieniu w tym samym czasie dinozaurów i ludzi. Ci szanowani w swoich dziedzinach specjaliści wykazują niejaki podobieństwo z owym nieszczęsnym Cervantesowskim licencjatem, który na wszystkie tematy wypowiadał się nad wyraz rozumnie i uczennie – z wyjątkiem jednego. Co sprawiło, że trzeba go było jednak zatrzymać w miejscu jego dotychczasowego, przymusowego pobytu.

„Komunizm wszedł w człowieka głębiej, niż przypuszczaliśmy” – diagnozował ks. Tischner. I przepisywał niezawodną terapię: chrześcijaństwo. Miało to być oczywiście chrześcijaństwo personalistyczne, przeciwstawne jakoby kolektywnemu duchowi komunizmu. Profesor zdawał się nie za-



© STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Uczestniczka mszy świętej podczas 16. Pielgrzymki Rodziny Radia Maryja na Jasną Górę. Częstochowa, 12 lipca 2008 r.

uważać, że personalizm był w katolicyzmie zaledwie cienką strużką, obecną może w środowiskach intelektualistów, nieufnie jednak traktowaną przez hierarchię. I zjawiskiem nieznanym katolickim masom. Ks. Tischner oddawał się tu podobnemu złudzeniu co kiedyś Tomasz Mann, który – sam agnostyk wywodzący się ze środowiska protestanckiego i z niejaką pobłażliwością spoglądający wcześniej na katolicyzm jako na formację zacofaną i pełną średniowiecznych zabobonów – w latach 30. doszedł do wniosku, że katolicki uniwersalizm będzie najskuteczniejszą zaporą przeciwko hitlerowskiemu nacjonalizmowi. Wolny od takich złudzeń był już Theodor W. Adorno, gdy w „Osobowości autorytarnej” uznał katolicyzm, wychowujący w duchu posłuszeństwa formalnemu autorytetowi i podporządkowania hierarchiom, za doskonałą pożywkę dla nazizmu, niejako jego *praeparatio* w umysłach Niemców: „Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wśród niemieckich kobiet faszyzm pełnił dokładnie tę samą rolę, która wcześniej przypadała w udziale wierze w religię pozytywną. Psycholo-

gicznie rzecz biorąc, faszystowskie hierarchie mogą w dużej mierze funkcjonować na zasadzie sekularyzacji i substytutu hierarchii kościelnych. Nie przypadkiem nazizm zakiełkował w południowych Niemczech, gdzie istnieje silna tradycja rzymskokatolicka” (przeł. M. Pańków).

Nie inaczej jest dziś w Polsce: to katolicyzm wychowuje obywateli z radością witających rządy twardej ręki. „Jedną z bardzo silnych składowych pisowskiego elektoratu jest oczywiście więź religijna”, konstatuje słusznie Stefan Chwin („GW” z 01.09.2018). Wyznawca-wyborca PiS nie jest oczywiście także obojętny na obietnice ekonomiczne. Ale nie one chyba mają znaczenie decydujące. Poprzedzające niniejszy tekst ostrzeżenie Bertranda Russella warto – choćby poniewczasie – potraktować poważnie.

...i jego kuzyni

Oczywiście: nie każdy katolik to *homo catholicus thoruniensis*. Wyznawcy Ojca-Dyrektora i Prezesa-Zbawcy to ra-

czej mniejszość. Dobrze zorganizowana, zdeterminowana, głośna i agresywna, dlatego najlepiej widoczna i słyszalna, ale przecież mniejszość. Przeciętny polski katolik – nazwijmy go *homo catholicus vulgaris*, co nie ma nic wspólnego z wulgarnością, ale jedynie z przyjętym sposobem klasyfikacji gatunków i odmian, jak *citrullus vulgaris*, arbuzy – bez entuzjazmu przygląda się „dziełom” toruńskiego redemptorysty i trzyma z daleka od jego mediów, bo razi go ich prymitywizm i napastliwość. Naukami pasterzy nie bardzo się przejmuje, a „watykańska ruletka” budzi w nim rozrabianie. Głosuje też raczej na PO niż na PiS czy jego bratnie partie, a polityczne kazania wywołują w nim irytację, za małą jednak, by demonstracyjnie opuścić świątynię w środku nabożeństwa. Częściej zresztą, znudzony, puszcza je po prostu mimo uszu.

Ale wciąż wykonuje rytualne gesty dobrego katolika: bierze ślub kościelny, chrzci dzieci, uczęszcza – mniej lub bardziej regularnie – do kościoła, daje na tacę, zamawia msze za bliskich zmarłych, spowiada się i czasem przystępuje do komunii, przyjmuje po kolędzie księdza, bo tak wypada. Jeśli jest nauczycielem w małej miejscowości, dochodzi do tego dodatkowa okoliczność: lepiej się nie narażać. Ma powyżej uszu pazernych i aroganckich księży, z satysfakcją obejrzał „Kler”, ale rozterki teologiczne to nie jego rzecz. Wiesza w domu portrecik JP II, bo wszyscy wieszają, ale nie rozczytuje się w książkach o cudach świętego papieża. Gdy jego latorośl przestaje chodzić do kościoła, przyjmuje ten fakt do wiadomości bez wielkich emocji. (Oburzy się dopiero, gdy latorośl nie zechce wziąć ślubu kościelnego). Krótko mówiąc: żyje po swojemu i nawet nie przyjdzie mu do głowy, że to on jest opoką, na której wznosi się owa tak działająca mu czasem na nerwy *Ecclesia militans*.

Albo inaczej: jest neutralnym dla organizmu *vehiculum*, w którym rozpuszczona jest substancja aktywna – którą jedni uważają za lek, inni za truciznę – a farmaceuci dobrze wiedzą, że substancji aktywnej zazwyczaj nie można podać samej. Gdyby którejś niedzieli wszyscy polscy *homines catholici vulgares* pozostali w domach, na biskupów padłby błąd strach, bo ich kościoły nagle by opustoszały. A dla polityków byłby to czytelny sygnał, że upokarzające całowanie biskupich pierścieni traci sens. To byłby początek końca kościelnej hegemonii. I tak się zapewne stanie, ale dopiero za jakiś czas. *Homo catholicus vulgaris* pozostanie jeszcze długo przy swoich nawykach, ratując kościelne statystyki i finanse, dobre samopoczucie hierarchów i obraz Polaków jako narodu katolickiego.

Wspomnieć tu trzeba o jeszcze jednym typie *homo catholicus*, statystycznie mało istotnym, ale przecież mimo to godnym uwagi. Nazwijmy go *homo catholicus cracoviensis*, bo właśnie pod Wawelem zdaje się on występować szczególnie licznie. Katolik krakowski to intelektualista, dobrze czytany w literaturze filozoficzno-religijnej z najwyższej półki. Samodzielnie czytuje Ewangelie, które uważa za jeden z najszlachetniejszych wytworów ludzkiego ducha. Nie jest jednak bezkrytyczny wobec kościelnego depozytu wiary, nie przejawia też wielkiej gotowości do przyjmowania za prawdę istnienia diabłów i aniołów, a przynajmniej stara się o nich my-

śleć i mówić jak najrzadziej. Kto wie: może nawet nie upierałby się bardzo przy historyczności Zmartwychwstania, bo u liberalizujących, acz wciąż ortodoksyjnych teologów może już wyczytać, że miało ono charakter nie tyle historyczny, ile „nadhistoryczny” (cokolwiek miałyby to znaczyć). Fascynację cudami zaś pozostawia z wyrozumiałym uśmiechem swym nieco mniej wyrafinowanym intelektualnie współbraciom. Ale nie zamierza ich wcale od niej odwozić.

Chrześcijaństwo to dlań zbiór najwznioślejszych w dziejach ludzkości wskazań moralnych. Dokonuje zatem odkryć podobnych tym, jakich w XVIII w. dokonali w Niemczech tzw. neologowie, liberalizujący teologowie protestanccy, którzy cuda i nadzwyczajne zdarzenia opisane w Biblii uznawali za rodzaj przynęty mającej ułatwić recepcję owej szlachetnej moralności wśród prymitywnego ludu Izraela. Ale odkrycie, że Ewangelie to nie kodeks etyczny, lecz instrukcja postępowania w dniach ostatnich, poprzedzających bliski koniec świata, zapowiedziany przez Jezusa, jeszcze przed nim. Nie jest zresztą wcale pewne, czy go dokona, bo konstatacja, że to proroctwo przecież się nie spełniło, byłaby dla jego żarliwej wiary rujnująca – syn Boga nie powinien w kwestii tak ważkiej podawać błędnych prognoz. Katolicy krakowscy (a są wśród nich nawet katolickie feministki) ubolewają nad stanem współczesnego Kościoła i łączą wielkie – choć już nie tak wielkie jak na początku – nadzieje z dobrym papieżem Franciszkiem, który oczyści Kościół z wszelkiego zła i przywróci mu ewangeliczną czystość. Chętnie powołaliby do życia jakąś Partię Umiarkowanej Reformacji w Granicach Prawa (kanonicznego), ale co by na to powiedzieli biskupi? Sytuacja jest zresztą dość paradoksalna: współczesny polski Luter nie paliłby dokumentów papieskich, raczej ukradkiem przybijałby je do drzwi w kościelnych zakrystiach.

Homo catholicus cracoviensis przypomina zatem do złudzenia niegdysiejszych „prawych komunistów”, tkwiących długo w przekonaniu, że – jak się wyraził Leszek Kołakowski na łamach „Po Prostu” – „socjalizm jest to naprawdę dobra rzecz”, trzeba go jedynie oczyścić z „błędów i wypaczeń”. „Prawi komuniści” doszli w końcu do wniosku, że błędy i wypaczenia to nie objaw uboczny komunizmu, lecz – wręcz przeciwnie – jego istota i esencja, a usunąć je można wyłącznie wraz z nim samym, co też ku powszechnemu zadowoleniu uczyniono. Czy do analogicznych konkluzji dojrzeją kiedyś także prawy katolicy? Jeśli już, to nieprędko. Marzenia o Kościele ewangelicznie czystym podtrzymują w nich modni kaznodzieje, nielekający się wyrazić opinii, że opętania diabelskie wprawdzie się zdarzają, ale bardzo rzadko, słowem: roztaczający wokół siebie subtelny zapaszek herezji, który tak mile drażni powonienie *homo catholicus cracoviensis*.

Katolik krakowski mocno przy tym wierzy, że chrześcijaństwo to rdzeń europejskiej tożsamości. Kto więc je porzuca, ten wypisuje się niejako także z Europy. Nie budzi w nim żadnych wątpliwości okoliczność, że Europa od chrześcijaństwa już się odwróciła i masowo ze swych Kościołów występuje. Zapewne niełatwo będzie go więc przekonać, że nowożytna cywilizacja wyrosła nie tyle z chrześcijaństwa, ile raczej ze sprzeciwu wobec niego, że wszystko, co dziś składa się na



catholicus vulgaris

żyje po swojemu i nie przychodzi
mu do głowy, że to on jest opoką,
na której wznosi się tak działający mu
czasem na nerwy kościół wojujący.

pakiet wartości europejskich: prawa jednostki, wolność wyznania, myśli i słowa, dojrzewało w szczelinach powstałych dzięki erozji złowrogiego monolitu, jakim było chrześcijaństwo przedreformacyjne. *Homo catholicus cracoviensis* jest – by powrócić do naszej farmaceutycznej metafory – swoistym *corrigens*, środkiem poprawiającym smak i zapach mało apetycznej mikstury: na pewno nie jest niebezpieczny dla polskiej demokracji, ale dostarcza moralnego alibi Kościołowi demokrację tę wszystkimi siłami zwalczającemu: „Skoro pozostają w nim tacy ludzie – pomyśli sobie ten i ów – skoro tacy ludzie mają jeszcze nadzieję na jego przemianę, to może da się być katolikiem, nie przestając być człowiekiem rozumnym i przyzwoitym?”.

Tomorrow belongs to him?

To jedna z bardziej zapadających w pamięć scen w historii kina: jasnowłosy, błękitnooki młodzieniec o twarzy anioła intonuje sielską, melodyjną pieśń, opiewającą kwietne łąki, rozjaśnione światłem słońca, zielen lip i spokojny sen niemowląt w kołyskach. Kamera cofa się z wolna, a widz może zobaczyć całą postać śpiewaka... odzianego w mundur SA. Dołączają doń inni esamani i goście zgromadzeni w wiejskiej gospodzie. Zgodnie rozbrzmiewa dumny refren pieśni: „Jutro należy do mnie”.

Kto chciałby nakręcić dziś w Polsce rodzimą wersję „Kabaretu”, bez trudu powtórzyłyby tę scenę. Młodzieńca mógłby zastąpić Andrzej Rosiewicz, który głosem pełnym słodyczy śpiewałby „Pytasz mnie” – chwytając za serce pieśń o kolorze polskiego nieba, bocianach powracających do gniazda, nadziei „dla Ojczyzny lepszych dni”. A cofająca się kamera pokazałaby krótko ostrzyżonych młodych ludzi w koszulkach ONR z wielkim transparentem, na którym widniałby napis: „My chcemy Boga”. I kibiców odpalających racę przed klasztorem jasnogórskim. Gdzieś obok znalazłby się inni *homines catholici thoruniensis*: starsze panie czule opiekujące się wnukami, inżynierowie w średnim wieku o jasnym spojrzeniu i twardym uścisku dłoni, młodzi fi-

nansiści biegle władający obcymi językami, na rekolekcjach spędzający urlopy i weekendy, wzorowi mężowie i ojcowie. Którzy zapewne wszyscy – jak kiedyś słuchacze jasnowłosych śpiewaków w brunatnych koszulkach – przyjęliby z pełnym zrozumieniem, choć czasem może z odrobiną smutku, decyzję demokratycznie wybranych przedstawicieli „suwerena” o skierowaniu niektórych współobywateli na reedukację w ośrodkach odosobnienia. A może nawet o „odszczerzeniu Polski”. Czy te „lepsze dni Ojczyzny” będą należały do nich?

Z pozoru *homo catholicus thoruniensis* rośnie w siłę. Przybiera uroczystości patriotyczno-religijnych, pomników Chrystusa Króla i spraw o obrazę uczuć. Przymus praktyk religijnych w szkołach jest powszechny, a sprzeciw wobec niego nieśmiały i słaby. Ale przecież równocześnie po cichu, niemal niezauważenie postępuje, zwłaszcza wśród młodzieży, laicyzacja – już uchwytana statystycznie. Zjawisko zrozumiałe: kogo za młodu pędzono do upokarzającej stadnej spowiedzi w sali gimnastycznej, ten, gdy dorośnie i będzie już mógł o sobie decydować, raczej dobrowolnie do niej nie przystąpi.

Nietykalność polskiego Kościoła i ciche przyzwolenie wszystkich rządzących ugrupowań politycznych na zwiększanie jego wpływów politycznych były konsekwencją roli, jaką odegrał w czasach komunizmu: prześladowanego sojusznika sił demokratycznych. Jako składnik struktur władzy, bezwzględnie wykorzystujący tę pozycję, szybko zapewne wyzwoli procesy podobne tym, jakie wyzwolił w Hiszpanii i Irlandii. To zaś, że zostaniemy drugą Irlandią, obiecał nam już przed laty – choć w nieco innym sensie – lider jednej z największych (i najbardziej podporządkowanych Kościołowi) polskich partii. Trzeba wierzyć, że będzie to jedna z wielu politycznych przepowiedni, które się spełnią.

TADEUSZ ZATORSKI

Autor jest niezależnym publicystą i tłumaczem.

RECYDYWA SARMATYZMU

Polacy mają kłopoty z tożsamością, ich zbiorowy autoportret jest niespójny i podatny na zranienie. Sarmacki rodowód wyznaczył swoistość ich mentalności i wpłynął na trudności adaptacji do wyzwań europejskiej współczesności. Przyczynia się do ideowego i politycznego rozpołowienia narodowej wspólnoty i degradacji państwa.

MACIEJ DYMKOWSKI

Przynajmniej od połowy XVII w. ustrój polityczny Rzeczypospolitej stawał się coraz bardziej anachroniczny. Jego przemiany były powiązane ze zmianami mentalności szlachty, a ta demonstrowała coraz bardziej wynaturzony, wybujały i anarchizujący indywidualizm, który prowadził do ignorowania interesów zawiadywanego przez nią państwa. Jak zauważył w *POLITYCE* 33/16 Marcin Bosacki, dla sarmatyzmu charakterystyczne jest „archaiczne przekonanie, że to Polacy zrodzili całość prawdy, dobra i piękna”. Wierze we własną wielką historię, pochodzenie od legendarnego ludu Sarmatów oraz bezprzykładne dokonania i możliwości towarzyszył deficyt w zakresie umiejętności strategicznego planowania i organizacji. Zwłaszcza w swoim schyłkowym okresie zawłaszczone przez szlachtę państwo litewsko-polskie stanowiło *curiosum* w Europie. I wiele wskazuje na to, że charakterystyczna dla niej mentalność i utrwalone nawyki odcisnęły piętno na kolejnych pokoleniach Polaków.



© STEPAN RUDIK/FORUM

Figury sarmackie są wykorzystywane przy okazji świąt narodowych (obok 11 listopada 2016 r.), a także w akcjach reklamowych i promocyjnych (np. przy wprowadzaniu przez NBP w 2009 r. kolekcjonerskich monet z motywami związanymi z husarią, s. 21).

Działania dawnej szlachty regulowała osobiwa ideologia służąca apologii jej państwa. Sarmatyzm nasycony nieufnością wobec zewnętrznego świata i ksenofobią legitymizował wewnątrzstanowy egalitaryzm szlachty. Im bardziej zależała ona od magnaterii, tym silniej akcentowała potrzebę równości i solidarności w ramach swojego stanu. Od XVI w. zapas moralnej magnaterii towarzyszyły zmiany mentalności szerokich kręgów szlachty – coraz bardziej próżniaczej, nastawionej nihilistycznie i zarazem autorytarnej. Jej słabo skrywany hedonizm dziwacznie współgrał z ostenacyjną, ale w istocie bardzo powierzchowną religijnością.

To ze szlachty w dużym stopniu wywodziła się polska inteligencja, która przejęła wiele jej upodobań i skłonności, takich jak zdystansowanie wobec ludzi niżej sytuowanych czy niechęć do przedsiębiorczości, jak i w ogóle do działań nastawionych praktycznie. Również umysłowość szerokich

kręgów mieszczan i migrujących do miast chłopów, stanowiących przytłaczającą większość społeczeństwa, uległy sarmatyzacji. Opisywana przez Andrzeja Ledera wymuszona rewolucja z lat 1939–56 spowodowała zniszczenie żydowskiego mieszczaństwa i przetrzebieenie elit o po części szlacheckiej genezie, ale mentalność i obyczajowość sarmacka wciąż się odradzają. Przez wieki atrakcyjne dla mas nieszlachty, uformowały ich psychospołeczną swoistość – tak bardzo, iż ich przejawy nie znikły ani wśród elit na nowo ukształtowanych w PRL, ani w ustrojowych realiach III Rzeczypospolitej.

Sarmaci respektowali normy kultury honoru, nakazujące wykorzystywanie przemocy w obronie swojej społecznej reputacji oraz bliskich sobie osób i wartości. Jej relikty wciąż są widoczne, w szczególności ujawniają się w opisywanej przez psychologów roszczeniowości odwetowej, bardzo destrukcyjnej formie adaptacji społecznej. Dziś przejawy tej kultury po-

